

## WSTĘP

Dach dziesięciopiętrowca to jedyna perspektywa, z której da się patrzeć na to zjebane miasto, by nie przyprawiało cię o odruch wymiotny. Z tej wysokości nie widać smutnych twarzy na przystankach, smutnych twarzy w autobusach ani smutnych twarzy w lustrach. Tych wszystkich tępych mord, których nie naostrzy ani bilet do teatru, ani karnet do opery, ani abonament na Netflixie, ani polo z koniem na klacie. Tych wszystkich owrzodzonych ryjów, dla których życie jest wyrokiem bez możliwości apelacji, przypominających ci, że między niebem a piekłem jest jeszcze czyściec, który dla niepoznaki ktoś postanowił zatytułować nazwą miejsca, w którym mieszkasz. Tego absolutnego braku nadziei w oczach, jakby wszyscy otaczający cię ludzie mieli zdiagnozowany nieuleczalny nowotwór i pogodzili się z tym, że jedyne, co mogą zrobić, to nie myśleć o ratunku.

Nie widać sypiących się elewacji budynków, które pamiętają, że tagi najpierw były na murach, a dopiero potem na Instagramie; nie widać połamanych ławek, które pamiętają jeszcze czasy, gdy telefony służyły do telefonowania, a nie całodobowego kupczenia prywatnością w necie; i nie widać powykrzywianych chodników, które pamiętają wszystko. Każdy upadek sąsiada alkoholika, któremu po wypłacie zawsze jest bliżej do monopola na rogu niż do Monopoly w domu, każdą ucieczkę przed dresami, kiedy ni z tego, ni z owego wyskakują z bramy, zatroskani pytając, czy masz jakiś problem, i każde snucie się bez celu między jawą a snem, gdy wracasz ze szkoły, zastanawiając się, czy cuda się zdarzają i czy kolejny dzień będzie inny. Inny niż dzisiejszy, wczorajszy, przedwczorajszy, przedprzedwczorajszy i przeddoentejwczorajszy. Gdy na kalkulatorze w komórce próbujesz obliczyć, jakie jest prawdopodobieństwo, że zmiana daty w kalendarzu pociągnie za sobą jakąś zmianę w otaczającej cię rzeczywistości, a każda następna doba nie będzie sequelem poprzedniej.

Z dachu dziesięciopiętrowca tego wszystkiego nie widać. Widać tylko zarysy.

Te wszystkie kłopoty namacalne jak żwir w bucie stają się płaskie jak papier, bo w końcu to ty patrzysz na nie z góry, a nie one na ciebie. Te wszystkie problemy, które dźgają cię przy każdej chwili nieuwagi jak Brutus, tracą na znaczeniu, jak traci na znaczeniu mandat za picie w miejscu publicznym, gdy dowiadujesz się, że żyjesz tylko dlatego, że matka nie miała pieniędzy, by pojechać za granicę i cię legalnie wyskrobać. To wszystko rozplywa się, przypominając dym z sziszy; po kilku minutach zostają tylko lekkie smugi sugerujące, że w ich miejscu faktycznie mogło być jakieś egzystencjalne spierdolenie, choć równie dobrze może to być po prostu kwestia brudnych okularów.

Gdy podchodzisz do krawędzi i przekładasz nogę za piorunochron będący jedyną barierą odgradzającą cię od bezkresu przestrzeni, rzeczywistość już nie jest twoją kulą u nogi, kotwicą, którą społeczeństwo zacumowało cię w Styksie, a zaczyna być tym, czym powinna – pejzażem, na który da się patrzeć bez obrzydzenia. Siatka ulic staje się planszą gry komputerowej, a nie siecią, w którą złapał cię skacowany rybak ciągnący na wypatroszenie, bloki klockami, które możesz poskładać i schować do szafki, a kominy hut przestają przypominać gargantuiczne piece krematoryjne. Nawet nocą, gdy światła latarni kojarzą się z blaskiem zniczy nagrobnych, a miasto upodabnia się do nekropolii, to miłszy widok niż patrzenie na ten kompostownik z perspektywy żuka gnojjarza. Z dołu.

Brak hajsu? Ołać. Brak miłości? Ołać. Brak stabilizacji, poczucia własnej wartości i sensu? Ołać. Na wysokości trzydziestu trzech metrów jesteś ponad tym wszystkim – i metaforycznie, i dosłownie – i gdy patrzysz na świat z tej perspektywy, wszystko traci na znaczeniu. Wszystko łącznie z twoim życiem.

Myślałeś kiedyś, jak by to było lecieć nad miastem?

Stojąc na dachu wieżowca, podejść do krawędzi, uklęknąć na zimnej czarnej papie, spojrzeć w przepaść pod sobą, wziąć najgłębszy wdech, by tlen trafił do krwioobiegu i rozszedł się po wszystkich żyłach w twoim ciele, i poszybować w

górze? Oderwać stopy od podłoża, rozłożyć ręce, wyobrażając sobie, że to skrzydła, i czuć, że powietrze smaga cię po policzkach i zaprasza do lotu? Jak by to było szybować nad swoją szkołą i wiedzieć, że żadna z jej macek cię nie dopadnie? Że jesteś daleko, daleko poza zasięgiem nauczycieli, którzy chcieliby cię udupić zagrożeniem na semestr albo chociaż odrzeć z marzeń, mówiąc, że skończysz na ochronie w markecie, z którego osiedlowcy z twojego bloku wynoszą w piątki wódkę? Lecieć nad klubem, w którym próbowałeś zaprosić do tańca lokalną miss nastolatek, ale jedyną odpowiedź, jaką dostałeś, to dym z czerwonego viceroya drażniący spojówki, i widzieć, że to miejsce zamienia się w znikający punkt? Unosić się wysoko nad cinquecentem w holenderskim gazie Robka z twojego podwórka, który w dzieciństwie kazał ci stawać na bramce, a gdy puściłeś jakiś strzał, stawał ci korkami na głowie, i spuścić na niego prezent z niebios, gdy będzie wysiadał z tego rzęcha, bo wiedziałbyś, że nieważne, jak bardzo wyciągałby rękę w twoim kierunku, to nigdy by cię nie dosięgł?

Jakie to uczucie skoczyć z dachu i być ponad rolami społecznymi, ponad granicami, ponad dobowym cyklem wegetacji? Być – jakkolwiek banalnie i oklepane to brzmi – wolnym jak ptak? Być niedostępnym dla pułapek codzienności? Być ponad?

Albo po prostu spaść na ziemię i rozbryzgać się o asfalt jak gołębie gówno?

Myślałeś o tym kiedyś?

Ja tak. Dość regularnie.

*Powyższy fragment pochodzi z książki "Lunatycy" autorstwa Jana Favre, dostępnej wyłącznie na stronie [www.Lunatycy.com](http://www.Lunatycy.com).*